TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.16 151 East 67 Street, New York, N.Y. 16.IV. 1942

S o l s k i z a w s z e m ł o d y i r z e ź k i.

Chwila, w której dostajemy z takim trudem przenikające dziś do nas wieści z kraju - jest zawsze i, myślę, dla wszystkich nas prawdziwym wstrząsem. Nie wiem, czy wszyscy, ale wiem, że większość z nas przed otwarciem koperty poprostu żegna się jak przed najważniejszym aktem życia i każdy zna to uczucie ulgi, wdzięczności, poprostu szczęścia jeśli list, w którym nic przecież nie może być budzącego pociechę, nie niesie zarazem wieści najgorszych, o których myśleć się nie chce. Każdy zna też owo dławiące gardło wzruszenie, które budzą w nim pierwsze odczytywane słowa listu: wszystko wtedy przestaje być ważne co nas otacza i co czynimy teraz, każda chwila, każda mila oddalenia od kraju zdają się nam być wtedy oddaleniem od nas samych, od jedynie prawdziwych naszych trosk i uczuć; w jednej chwili uświadamiamy sobie gorzki przywilej naszego bezpieczeństwa i tragiczne, wspaniałe przeznaczenie tych, co tam zostali. Wtedy to najbardziej pragniemy być potrzebni, użyteczni i najmocniej czujemy konieczność dokonania czegoś, coby bez żadnego frazesu i mylenia siebie czy innych było służbą, poświęcenie siebie i pomocą fizyczną czy moralną dla innych. Bo choć mówimy to między sobą i piszemy już z jakąś bluźnierczą rutyną, że kraj nasz jest krajem bohaterów, że każdy Polak, każda Polka, starzec czy dziecko trwają w tej wspaniałej Polsce jak żołnierze w najbardziej zagrożonych okopach, przekonani, że każdej chwili mogą umrzeć i na tę śmierć gotowi - w gruncie rzeczy wszystko to jest dla nas prawdą niewątpliwą ale martwą i daleką. Zrozumieć ją naprawdę może tylko ten, kto podjął służbę najcięższą, bez jednej myśli światowej o wywyższeniu o nagrodzie, albo ten, komu dana jest łaska świętości, pozwalająca nieść ulgę cierpiącym, biorąc ich cierpienia na siebie. Nic też dziwnego, że owa nieczuła, okrutna i zbawcza biologja, która chroni nas dla jakichś nam czy naszemu krajowi potrzebnych przeznaczeń - czepia się jak usprawiedliwiającej ją prawdy - każdej złudy podobieństwa naszego losu i losu naszych dalekich; wiemy, że tak nie jest, że nie można zestawiać nawet ich i naszego życia, porównywać nas, którzy jesteśmy niby bezpieczni i ich, którzy są naprawdę wybrani - ale przecież nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie chłonęli chciwie owych lepszych wieści, aby móc sobie powiedzieć: "A jednak oni żyją, mogą żyć, dają sobie jakoś radę."

W jednym z listów, który ostatniemi czasy dotarł aż tutaj z wygłodniałej i niepojętej Warszawy - nasza przyjaciółka, niegdyś świetna pani, czarująca polskim raźnym wdziękiem salony świata, dziś uboga mieszkanka owego warszawskiego okopu, donosząc o losie, przeważnie tragicznym bliskich czy zasłużonych - napisała jedno zdanie pełne właśnie owej złud nej ale jakże potrzebnej nam pociechy i ukazujące bohaterski los Warszawy, w jej cudownym, ironicznym uśmiechu: "Solski zawsze młody i rzeźki".

Niema nietylko warszawianina, ale niema także nikogo z Krakowa, Lwowa czy Poznania, któryby nie uśmiechnął się zarazem tkliwie i z jakąś polską śmieszną butą, przeczytawszy te słowa. Wieczna młodość Ludwika Solskiego - stała się oddawna bowiem ulubionym przedmiotem żartów, bez których żadna wielka stolica obejść się nie może, bez których poprostu nie byłoby stolicy i ktoś, ktoby przed wojną 1914 przyjechawszy do Paryża nie usłyszał nowego dowcipu o starości, czy raczej młodości Sary Bern hard słusznie czułby się zaniepokojony, czy czasem nie zaniedbał gdzieś pójść albo dotrzeć do czegoś, co jest najbardziej paryskie.

Jeden tylko dowcip nie został do Solskiego przystosowany, pozornie okrutny, ale zdolny zarazem ukazać w ironiczno-pochwalnym skrócie jego niepojętą niezniszczalność: ten, którym młody Clemenceau potraktował gen. Boulangera wołając: "Monsieur! A votre agé Napoleon était dejà mort!" "Panie Solski! W pańskim wieku Sara Bernhard już była nieboszczką" - moglibyśmy mówić od wielu lat do naszego nieporównanego Solsjusza, który według życzliwych obliczeń przekroczył już osiemdziesiąty piąty rok życia i który przytym, jak list naszej przyjaciółki dowodzi nie traci prawdopodobnie nadziei, że na otwarcie odrodzonego teatru Narodowego zagra ni mniej ni więcej tylko swego ulubionego "Samozwańca", w sztuce swego wiernego Ady Nowaczyńskiego.

Ta sztuka, którą raz po raz wznawiał jeśli nie w Warszawie to na prowincji, była właśnie polem popisu dla młodości Solskiego, żywości jego ruchów, zwrotności jego młodzieńczej figury, siły jego drżącego, ale zawsze donośnego i czystego głosu; wśród wielkich ról jego była też jedną z tych, której nikt z rówieśnych mu i młodszych grać się po nim nie ośmielił. Któż z nas, kto raz widział tę sztukę nie pamięta doznanego dzięki niej wstrząsu, sięgającego aż do samej głębi przeżycia naszej historji, komuż mróz nie szedł po kościach, duma, zmieszana z poniżeniem nie krwawiły twarzy gdy widział panów polskich tańczących na zdobytym Kremlu, a wokół kłoniących się do ziemi ciemnych bojarów, gotowych wtedy przyjąć polskie władztwo i nazawsze z Polską się związać, jakąż ironią straszliwą i pełną wspomnień grzechów nie do odkupienia dosięgały nas słowa mazura na jakże polską nutę Czajkowskiego:

"Bogdaj ten w piekle gorzał
Kto pierwszy myślą chorzał.
Lach, póki lutnia gędzie
Wesoły zawsze będzie.
Bogdaj ten czyściec czyścił
Kto smutki, łzy wymyślił.
Wesoło będzie z nami,
Panami Sarmatami".

"Dymitr" i "Fryderyk" tegoż Nowaczyńskiego były przez wiele lat największemi tryumfami Solskiego zanim nie stał się wybranym przez Karola Huberta odtwórcą jego wielkich ról "Judasza", "Kaliguli", "Ojca" w "Niespodziance", które nazawsze związały nazwiska twórcy i aktora, jak nazwiska Rostanda, Coquelina i Sary Bernhard. Najbardziej znany i najbardziej portretowy, grany prawie bez charakteryzacji "Kościuszko" An -

czyca, "Wiarus" z "Warszawianki", pierwszy i jedyny, Dyndalski i Łatka, z którego jeszcze dziś się śmieję, gdy przypomnę sobie jak mówił podrygując pociesznie: "A bodaj ci nóżka spuchła" - czegoż bo Solski nie grał w czasie sześćdziesięciu pięciu lat na scenie, po której skakał jak sarna, grając główne albo jeśli w nich widział jakąś ciekawość - najmniejsze choćby role, reżyserując zarazem sztukę i ucząc bohaterki omdlewać z miłości, cudownie podrobionym sopranem.

Był już czcigodnym jubilatem, dojrzałym w opinji kolegów do emerytury, kiedy po rozstaniu się z demoniczną Ireną Solską pojął w rozsądne małżeństwo siwowłosą zacną ziemiankę i w tym samym niemal czasie /było to w końcu poprzedniej wojny/ objął wraz z Czesławem Jankowskim, w inny sposób niezrównanym, dyrekcję Teatru Polskiego. Pani Aneta Solska, prawdomówna, dzielna i zadzierzysta znalazła się wtedy po raz pierwszy w swem życiu w sławnej dyrektorskiej loży z lewej strony i poraz pierwszy też napewno słuchała "Wieczoru trzech króli" Szekspira, w którym miała poraz pierwszy zobaczyć swego małżonka przebranego po cudacku z przyprawioną bródką i z wymalowaną twarzą. Była to druga komedja patrzeć jak w miarę rosnącego humoru Solskiego-Chudogęby nieszczęsna ziemianka zdawać sobie poczęła sprawę, w jaką skandaliczną wplątała się kabałę, oddając rękę aktorowi, miało się wrażenie, że patrząc na harce i skoki obłąkańcze Solskiego, słuchając jego chichotów słyszała zarazem stukanie kości jej przodków Żychlińskich, leżących na cmentarzach, na których, jak wiadomo, nie chowano "komedjantów". Wreszcie w chwili, kiedy Solski zaczął skakać po schodach, wyprawiając swoje sławne w tej roli grymasy i nieopisane łamańce - strach o człowieka, o męża przemógł wszystko i pani Solska nie mogąc dłużej wytrzymać, zawołała do towarzyszących jej w loży urzędników teatru: "Panowie! Na miłość Boską! Lećcie! Zróbcie coś! Przecież ten stary nogi sobie połamie!"

Nietylko odtąd ale i przedtym nie było premiery i próby, na którejby, patrząc jak Solski skacze po trzy stopnie, drapie się na szczyt dekoracji, zbiega do podziemi, uczy wszystkie Julie jak mają się wychylać z balkonu, wszystkich Kordianów jak mają skakać z Mont-Blanc, aby patrząc na tą fenomenalną ruchliwość i zręczność, tak urągającą jego wiekowi - nie myślało się z trwogą, że jednak ten "stary" pewnego pięknego wieczoru połamie sobie nogi.

I nie połamał sobie. Nie połamał sobie, wracając tyle razy do domu po nocy spędzonej do rana u Karpowicza w Zakopanem, albo u Langnera w Warszawie na "sakramenckiem" piciu z Kornelem i jakąś starą lwowską gwardją, nie połamał, lecąc tyle razy za tramwajem, nie połamał wreszcie zbiegając bez palta ze schodów walącego się domu w płonącej Warszawie.

I oto w tej chwili, gdy tak mało nachodzi nas dobrych myśli, roztkliwia mnie i rozmarza myśl, że on tam jest, napewno wychudły, ale ten sam zawsze, z trzęsącą się, na bakier suchą głową, zawsze gotów najtrudniejszą robotę wykonać, dobrze popić i zawsze pełen nadziei bez patosu, jak prosty, prawie przeciętny obraz naszego kraju. Odkąd go znałem, miałem zawsze zwyczaj na przywitanie, wymigając podanie ręki, które mi się wydawało poufałością, całować go pół serjo - pół żartem w ramię, pytając zarazem o jego kobiece sukcesy. Chciałbym to uczynić i w tej chwili, gdy dochodzą mnie te słowa, pełne uśmiechu nieugiętej Warszawy, brzmiące jak jakiś szyfr tajemniczy i radosny

"Solski zawsze młody i rześki".

Jan Lechoń

Pochwała drzew.

...ileż wam winienem, o domowe drzewa! /Mickiewicz/

Nic mnie tak nie zachwyca jak wysokie drzewa,
Długowieczne narody, bożej pełne woli,
Przez które rok po roku z ziemi się wylewa
Rozrodczy mus istnienia, wiekuista kolej.

Słowiańsko mleczne brzozy i masztowe sosny,
Topole mnogolistne, pełne gniazd gawronich,
Modrzew z kiścią wiosenną, tkliwy i miłosny,
Drzewa moje i szumy rozwiane koło nich!

Starsze niż każda matka, zapisane słojem
W rodowody pod korą, w śpiewie - podobłoczne,
Drzewa, mógłbym powiedzieć, idą życiem mojem
I w drzewach chciałbym spocząć, kiedy tu odpocznę.

Już chłopcu, gdym z wyprawy przynosił karpackiej
Pierwsze rymy zbierane w marzycielskim trudzie,
Śniły się panny leśne, wołały na schadzki
I jawor śpiewał, jawor, jaworowi ludzie.

To bywa tylko w Polsce, bo - pomyślcie - gdzieżby
Drugą noc taką znaleźć świętego Wawrzyńca,
W której świat czarownicze odmieniają wierzby
I komety się sypią na środek gościńca.

Śród buków babiogórskich, w Niefcyrce zbutwiałej,
Ile razy mojemu przyjazne uczuciu
Liście niosły mnie w górę, naskroś przeszumiały
I orzech do zadumy prosił na Pokuciu!

Jak wabiły mnie świerki, piękne zwłaszcza w zimie,
Gdy roją się pod śniegiem szczytami piramid,
Wtem dmuchnie wiatr - i nie wiesz czy to lasy w dymie
Czy pod włos podczesany iskrzy się aksamit.

Z ich wież i bram gotyckich iść było najlepiej
W barwiste światło nieba, tak jak wiodła droga,
Przy niej stał klon czerwienny i z wrześniowej sepji
Bił po oczach żarliwem natchnieniem van Gogha.

I to mi już zostało. Dziś w przyrodę drzewną
Wchodzę jak między braci i siostry przyrodne,
Wiem że do chóru ziemi przyjmą mię napewno
I wyznaczając głosy, zaliczą mnie - w zgodne.

I tak mógłbym ten epos prowadzić bez końca,
W aromatach i barwach, od bieli do bronzu,
Rozrastać się, jak puszcza, po strofach rosnąca
I rymy do nich wiązać, jak powój do wiązu.

Lecz wyjdźmy raczej z tłoku i spójrzmy naprzykład
Na lipę, najzwyklejsze między nami cudo,
Z miejsca mógłbym wygłosić cały o niej wykład,
Od mięsistej zieleni aż po starość rudą.

Jej kopuła, ten barok naszej wiejskiej flory,
Posłuchajcie jak szumi! Umączony pyłem
Pszczelny rój, ssący kwiaty, w lipcowe wieczory
Jak huczy w napowietrznem mrowisku zawiłem.

Ile w niej dostojeństwa, kto dumał w jej cieniu,
Jaka tradycja w rodzie i bogactwo czasu!
Dziś jeszcze lipom śni się król Jan we wspomnieniu,
Dwór szlachecki się marzy Jana z Czarnolasu.

Bo z ich liści powiały - ach, to nie herezja -
Pierwszy raz w naszej mowie pośpiewy rytmiczne
I polska zapachniała lipami poezja...
Święć się nam miodne drzewo genealogiczne.

A dęby! Bóstwa Litwy, cezary w koronie!
Wejdź w gąszcz tych mitów leśnych! Ich święta potęga
Do naszych dni nad borem aureolą płonie
A pogańskich pokładów korzeniem dosięga.

Baublisy biblji drzewnej! Dęby Mickiewicza!
Gloger znał z nich trzy godne "Pana Tadeusza".
Jeden żył tuż koło nas, blisko Drohobycza...
Pomyślcie jaka sława! I jak mnie to wzrusza!

Niekiedy roję śmiesznie - może to prognostyk,
Żem do drzew przystał, znalazł śród nich tyle treści...
Mój ludzki żar w tym związku podziemnym nie ostygł:
Gdy piszę, słucham z głębi czem niebo szeleści.

Jaki wiatr mną porusza, czy dnie z bożej strony
I odblask jak mu poddać w mych słowach łaciński,
Uczy mnie tego szumiąc w rozmowie zielonej
Mądry dąb naszych czasów, Tadeusz Zieliński.

Bo w drzewach jest najlepiej. Jak kiedyś Owidy
W legendzie Obidowej, słucham: wszystko śpiewa,
Organami się modlą Gorgany, Beskidy,
Białowieskie ostępy i buk od Swarzewa.

Na mistycznem Polesiu, w Nowogródzkiem, w puszczy,
Co za Tucholą wodne kryje uroczyska,
Wszędzie, jak uschła kora kiedy z pnia się łuszczy,
Spada ze mnie zło ludzkie a światło wybłyska.

Chcę być, jak te kolumny, wyłonione z ziemi,
Korzenne i pochmurne - i pełnić tu swoje,
A jeśli mnie grom dotknie i usta oniemi,
Niech śród niezłomnych przetrwam, milczący niech stoję.

Bo zawsze mnie porywa, gdy widzę posągi
Drzew, co zaznały klęski, a nic ich nie łamie,
Choć ranione - nie padły, wznoszą się jak ongi
I burzom potrzaskane nadstawiają ramię.

Bo z wami chcę się zrosnąć i szukam przymierza
By, jak wy, trwać tu czołem po kres nieugiętem,
Drzewa moje przy drodze z Puław do Kaźmierza,
Poryte piorunami, zalane cementem.

Kazimierz Wierzyński

Mój pierwszy rok w Ameryce.
/Dokończenie/

Na zakończenie tych luźnych, arcyluźnych uwag i spostrzeżeń, godzi się pisarzowi wspomnieć o współczesnej literaturze kraju, który jest dziś obok Anglji ostatnim chyba przytułkiem wolnej, żadnymi oficjalnymi nakazami niekrępowanej twórczości umysłowej.

Literaturę amerykańską znam niestety jedynie z przekładów na inne języki, a więc tylko z tego, co przypadło do gustu t.zw. Europie zachodniej i kontynentalnej. Smak ten w licznych wypadkach spotykał się ze smakiem amerykańskim, owszem, ale z naszych własnych doświadczeń wiemy, iż każdy naród przedewszystkiem uprawia twórczość, dostępną tylko w granicach narodowej wrażliwości. Zapewne i Ameryka ma swego Wyspiańskiego, który podobnie jak nasz - w każdem tłumaczeniu wychodzi pomniejszony i rozśmiesza cudzoziemca tam, gdzie my zwykliśmy zalewać się łzami. Tak tedy olbrzymia dziedzina przebogatej twórczości amerykańskiej musi pozostać obcą tym, którzy nie znają języka angielskiego i nie orientują się w historii oraz regionalizmach tego kraju.

To, co u nas w Europie nazywało się "życiem literackiem" - tutaj zdaje się toczyć na bocznych torach i nie wpływać na zasadniczy nurt życia społecznego. Istnieją tu olbrzymie wydawnictwa, wychodzi mnóstwo poważnych czasopism, poświęconych literaturze i związanym z nią zagadnieniom, ale najlepsze z nich mało są znane szerokiej publiczności, pożerającej magazyny, tygodniki oraz książki, zaawansowane do rangi bestsellerów, czyli jedyne książki, które się kupuje. Inne książki, wydawane setkami miesięcznie, jako towar księgarski prawie wcale nie wchodzą w rachubę, a istnieją tylko dzięki wielkiej ilości bibliotek, szkół, klubów i dziwaków. Czasopisma literackie wychodzą przeważnie na prowincji, jako wydawnictwa uniwersytetów, n.p. bardzo poważna "Virginia Quarterly Review", "The Yale Literary Magazine", "Books Abroad", kwartalnik znakomity, wydawany przez profesora House'a w uniwersytecie stanu Oklahoma. W Nowym Yorku największe znaczenie ma "The Saturday Review of Literature", tygodnik, bardzo zresztą skromny. Szeroki ogół na terenie New Yorku otrzymuje co tydzień standaryzowane sprawozdania z bieżącego ruchu wydawniczego w postaci gratisowych dodatków literackich do niedzielnego "N.Y.Times" i "N.Y.Herald Tribune". Już choćby z lektury tych dodatków można się przekonać jak rozległa jest współczesna produkcja książek w kraju o 130 milionach ludności, wolnej od analfabetów. I można się również przekonać że największem powodzeniem cieszą się obecnie malowidła na tematy zaczerpnięte z historii Stanów Zjed. tudzież powieści regionalne. Jednakże i rodzaj "ogólnoludzki", eksportowany do Europy, jest niesłychanie bogaty i ciekawy. Zwłaszcza ostatnie dwudziestolecie może się pochlubić szere-

giem naprawdę znakomitych autorów jak: Eugeniusz O'Neill, Sherwood Anderson, Sinclair Lewis, Thornton Wilder, John Dos Passos, Ernest Hemmingway, William Faulkner, Erskine Caldwell, John Erskine, John Steinbeck i i. Autorzy ci dokonali wiele bardzo doniosłych odkryć literackich, zwłaszcza w dziedzinie prozy belletrystycznej. Nieobciążeni konwencjonalizmem są oni niejednokrotnie pionierami w dziewiczych puszczach życia duchowego, tak jak przodkowie ich byli pionierami w sensie fizycznym. Obok śmiałych nowatorów jak Don Passos lub Faulkner widzimy Thorntona Wildera, mistrza opowieści w najlepszym stylu francuskim. Dyskretny katolicyzm tego pisarza, jego humanizm i wyrafinowana prostota wyrazu jest jeszcze jednym z wielu przykładów, iż znajdujemy się w świecie pełnym niespodzianek i paradoksów i winniśmy się wystrzegać uogólnień. A obok Wildera - żywiołowy, niepohamowany Dos Passos i anatolofrancowski John Erskine. Jeżeli zważymy, że w krótkich stosunkowo odstępach czasu trzech pisarzy amerykańskich otrzymało nagrodę Nobla /O'Neill, Sinclair Lewis i Pearl Buck/ już choćby to powinno nas skłonić do uznania współczesnej literatury amerykańskiej za jedną z najoryginalniejszych i najżywotniejszych w świecie.

Eugeniusza O'Neilla uważam za najwybitniejszego obok Shaw'a i Maeterlincka żyjącego autora scenicznego - przynajmniej w świecie naszej t.zw.zachodniej cywilizacji. Twórczość jego była niestety w Polsce prawie całkiem nieznana. Osiągnęliśmy tam w ciągu ostatnich lat piętnastu, w dziedzinie teatru naprawdę wysoki poziom - zacofania. A to dzięki najrozmaitszym cenzurom, które nie dopuszczały na scenę żadnej śmielszej myśli społecznej, filozoficznej i religijnej. /Pewien młody poeta polski napisał przed samą wojną ciekawy utwór p.t."Antygona". Utwór ten miał być grany w znakomitym teatrze "Ateneum", prowadzonym przez jednego z najgenialniejszych aktorów Europy jakim był niewątpliwie Stefan Jaracz, dziś ofiara niemieckich obozów koncentracyjnych. "Antygonę" tę w całości skreślił jeden z licznych cenzorów warszawskich, dopatrując się w niej niepożądanych aluzji aktualnych/. Tak więc, rozporządzając wspaniałym materiałem aktorskim, reżyserskim i dekoracyjnym - teatr polski musiał pominąć O'Neilla. Zdaje mi się tylko jedna "nieszkodliwa" i słabiutka sztuka tego wielkiego dramatysty była grana w Polsce:"Anna Christie", oczywiście bez powodzenia. Ani "Kosmata małpa", ani "Cesarz Jones" ani inne sztuki murzyńskie jak:"Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła", "Wielki bóg Brown", ani nawet wielkie i niezwykle oryginalne misterium na miarę "Peer Gynta"- "Strange Interlude" nie mogły być w Polsce wystawione. Jaracz "palił się" do "Kosmatej małpy", jakby specjalnie dla niego napisanej, był jednak bezsilny wobec strachu dyrekcyjnego przed zgorszeniem cenzury. Ten strach przed różnymi czynnikami był aż nazbyt u nas pospolitym hamulcem rozwoju życia umysłowego szerokich mas społeczeństwa i rykoszetem działał na samych twórców i artystów, którzy w końcu przyzwyczaili się do nietykania spraw "drażliwych", zapominając, że tylko sprawy drażliwe ożywiają życie umysłowe. Od tego strachu na szczęście wolna jest twórczość narodów anglosaskich,śród których mamy szczęście spędzać smutny okres naszego wygnania. Tą wolnością od lęku myślenia,winniśmy się zarazić wszyscy i tu i w Anglji. Gdy będzie nam kiedyś dano wrócić do Polski, kto wie,czy nie zażądają tam od nas zastosowania metod,których powinniśmy się byli wyuczyć w Ameryce,metod swobodnego wypowiadania tego, co o świecie mamy do powiedzenia. Te metody zostały w Ameryce doprowadzone niemal do doskonałości,dzięki ciążącym na każdym pracowniku słowa obowiązkowi szczerości jeśli nie - odwagi.

Wezwaniem naszych mózgów i sumień do wolności na wzór amerykański kończę te pobieżne uwagi. A siebie wzywam do dokładniejszego poznania kraju,który dał mi przytułek,kraju,którego zwycięstwo w tej wojnie będzie zwycięstwem nietylko sił materjalnych,ale i zwycięstwem wolności ducha- odniesionem nad wszelką niewolą.

Józef Wittlin

B r z y d k i   m a ł y   J o h n.

Kilka dni temu odwiedziłem znajomego w stanie New Jersey. Przyjechał do Stanów w początkach tego stulecia jako kilkunastoletni chłopak; pracował w Pennsylwanii na roli, w fabrykach w Chicago, Buffalo, Milwaukee a dziś jest właścicielem pokaźnej piekarni, kurzej farmy i pięknego domu. Najstarszy syn jego służy w armii Wuja Sama, a córka studiuje na uniwersytecie Columbia. Lubię z nimi pogawędzić. Ma duży zmysł humoru, wiele samorodnej inteligencji i zdrowy chłopski rozum, typowy dla Polaka, który przez pół wieku zwycięsko borykał się na obczyźnie z trudnymi warunkami życia.

-Widzi Pan -opowiadał mi- zawsze tęskniłem do książek ale nigdy nie miałem na to ani czasu ani pieniędzy. Dopiero dziś, gdy dzieci pomagają mi w interesie, odrabiam zaległości. Tydzień temu kupiłem sobie "Potop" Sienkiewicza, cudowną książkę, która umila nam wieczory. Czytam ją naprzemian z moją żoną na głos i uczę się na starość pięknego polskiego języka To może dziwne, co panu mówię - ale tak jest.

-Jest pan chlubnym wyjątkiem...-

-Nieprawda -oburzył się- takich jest więcej! I byłoby jeszcze więcej, gdyby nie to radio.

-Dlaczego? Nie rozumiem.-

-Panie, żeby pan słuchał niektórych polskich godzin. Co oni tam wygadują! Nie mam nic przeciwko reklamom, bo i anonserzy muszą z czegoś żyć i czasem można się dowiedzieć ciekawych informacji. Ale dlaczego w radio amerykańskim mówią do nas jak do ludzi a w polskich traktują nas jak niedorozwinięte dzieci? Przecież oni nie mówią do nas po polsku tylko jakimś łamanym językiem, którego chcemy unikać nawet w życiu prywatnym. N.p.: "...jak wam mówiłem wczoraj w redio, zastopowałem karę na kornerze pod storą, gdzie miałem byzness z buczerem i grosernikiem..." Co to jest? Jeżeli taki pan nie umie po polsku - dlaczego nie mówi po angielsku? Właśnie dlatego słuchamy godzin polskich, by sobie przypomnieć polski język - bo angielskie audycje są dużo ciekawsze. Tymczasem sztucznym łamanym językiem opowiadają jakieś historie o "Gryzeldzie, córce rycerza i porwanym dziecku" albo zapowiadają, że "maść onaż zmiękcza członki sztywne z przeciągu". Wiemy o tem dobrze, że nie jesteśmy uczonymi. Ciężka praca na roli i w fabryce nie pozwala na naukę i nikt sobie z braku edukacji wyrzutu nie robi - ale chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś wieczorami i jeszcze chętniej słuchalibyśmy pięknej polszczyzny. Po angielsku mówię biegle, używam tego języka często, chciałbym jednak mówić równie biegle i po polsku. Jest to zbytek, na który sobie mogę pozwolić po kilkudziesięciu latach pracy, by mówić lepiej niż w czasie, gdy jako chłopak wyjechałem z galicyjskiej wsi. Stać mnie na to, by z dziećmi, które ukończyły szkoły amerykańskie mówić po polsku i nie wstydzić się tego.-

-Opowiem panu anegdotkę -ciągnął dalej- o pewnym policjancie w Sing-Sing, któremu sędzia kazał się łagodnie obchodzić ze skazańcami, gdyż z punktu widzenia nauki należy uważać zbrodniarzy za chore dzieci. Gdy przyprowadzono nazajutrz olbrzymiego draba, skazanego za potrójne morderstwo, policjant uśmiechnął się do niego i zapytał z dziecinnym uśmiechem: "A ktio zamoldował tatusia i cyknął matulę w ciemię - a ktio? A ktio brzytewką zakatlupił babunię? Brzydki maly John! A ktio ze stlachu zlobił psi-psi na elektrycznym krzesełku? Brzydki Maly John!"-

Stosunek większości "radiowiczów" do nas, do Polonii amerykańskiej jest mniej więcej ten sam. Sądzą, że nam zrobią przyjemność - a wyrządzają krzywdę. Jest to dziwne, komiczne nieporozumienie, z którego nie zdają sobie sprawy, bo jeżeli Polak amerykański w tym wieku co ja /na młodzież już liczyć nie mogą/ chce słuchać jeszcze godzin polskich, to po latach walki o byt i doświadczeniach życiowych na tyle świat poznał, choć do szkół nie chodził, by go nie traktować jak niedorostka z głuchej poleskiej wsi.

Ktoś otworzył odbiornik i z pokoju rozległ się tubalny głos speake

ra: "A teraz drodzy,kochani słuchacze i wy,drogie,piękne,zawsze młode słuchaczki - mówi do was wasz ulubiony,zawsze wasz,zawsze kochany redioenuncer X,Y,który wam złoży życzenia świąteczne pięknym,wesołym wierszykiem po naszemu!

Ile w wiośnie - jest radości!
Ile serce moje rośnie!
Ile w kwiatku jest słodyczy!
Tyle szczęścia wam pożyczy...!

Córka gospodarza,która po polsku nieco rozumie,uniosła głowę z nad Prousta i zaśmiała się.Potem spojrzała na ojca i umilkła. Ale ja byłem bezwstydny.Śmiałem się głośno i niewytwornie,szeroko i do rozpuku, bo mi dogodził mały brzydki John.

Jerzy Topa

Time bomb. Rozdział 5.

Powieść

Niemiec? Przez wszystkich przeszło coś w rodzaju prądu o wysokim napięciu. Miss Violet stała przez chwilę z otwartymi ustami, zanim wybiegła na dwór, Weber szukał wszędzie ołówka, który trzymał w ręce, dziewczyna,dotychczas apatyczna, odwróciła głowę i spojrzała przytomnie. Nawet Mr White był zelektryzowany dziwną atmosferą, choć nie znał jej powodu.

-Co, Co, Co? - pytał cicho żony.

-Niemiec- szepnęła mu w ucho.Zmarszczył brwi i odwrócił głowę ku werandzie. Wszyscy czekali w napięciu. Wiadomo,że wniosą zwykłego człowieka,ale będzie to przedstawiciel wyższej kultury,egzemplarz rasy panów hitlerowki nadczłowiek!

-Zestrzelony?- Mrs Karfunkel zapytała szeptem żołnierza. Ten jeden nie odczuwał wzruszenia. Nie raz już widział zestrzelonych Niemców. A że właśnie zapalał swoją fajeczkę,więc tylko pokiwał głową.

-A mówi po angielsku?

-Chyba że nie - odpowiedział akcentem farmera z tych okolic - bo nie krzyczał.

-To taki jeszcze czasem krzyczy?

-Jak któren mówi, to zawsze krzyczy.

-Na co? Na co krzyczy?

-Rozmaicie.- Fajeczka rozpaliła się dobrze,więc żołnierz chętnie opowiadał.-Jeden raz krzyczał,że my jego nie salutowali i że Gestapo porachuje się z nami za to.A jeden to chciał,żeby mu sprowadzić oficera, bo krzyczał że on oficer,to ma prawo,żeby go oficer zabrał.

-Bezczelność!

-To jeszcze nic. Jeden,co usmażyłby się na żywca,bo już się zaczynał palić jak go wyciągnęli z samolotu,to się zapytał czy to Anglia,a potem napluł na ziemię!

-O!...

-Okropność!

-I wy dajecie im tak?

-Jak któren jest ranny,to co zrobić?

-A tamten był ranny?

-Tamten był całkiem zdrowy.

-To co?

-To odzyskał przytomność dopiero na drugi dzień.- Wszyscy poczuli ulgę, ale żołnierz był trochę zażenowany.

-Wiadomo,że bić jeńca nie ludzka rzecz,ale co robić jak taki nie zrozumie ludzkiego słowa?- dodał na usprawiedliwienie.

-A ten nic nie mówił?- dopytywała się dalej Mrs Karfunkel.

-Ten tylko "Heil Hitler" powiedział.

Mrs Karfunkel pokiwała ze zgrozą głową,a MRs White odwróciła się od drzwi werandy i mężowi kazała odwrócić się tyłem,bo usłyszeli,że niosą go.

-Tędy.Proszę tu postawić.Osobno - wydała dyspozycje Miss Violet.

Sanitarjusze w ciszy wnieśli nosze.Niemiec znalazłszy się w świetle uniósł trochę głowę i rozglądał się po pokoju. Nikt nie przerywał milczenia i nikt nie patrzał na niego,ale wszyscy obserwowali go ukradkiem.

-Całkiem jak Anglik. Wcale nie wygląda na zbrodniarza- zauważyła z pewnym żalem Mrs White.

-Zdaje się,że boli go,jak rusza głową- stwierdziła Miss Violet.

-Wogóle nie wie,że zrobił co złego,widać- pomyślała Mrs Karfunkel.

Jeden tylko Weber trzymał się z boku i ponuro patrzał w ziemię,ale wrogi nastrój rozwiał się po chwili. Obok nich leżał żywy i cierpiący człowiek,argument mocniejszy od wszystkich teoretycznych uprzedzeń.

Nikt jednak nie chciał zaczynać rozmowy.Cicho wyszli sanitariusze, w ciszy odebrał żołnierz kartkę i tylko kiwnął głową na pożegnanie,Weber i Miss Violet wyszli na palcach,gdy usłyszeli,że zajeżdża nowy ambulans.

Najtrudniej przychodziło milczenie Mrs Karfunkel.Raz i drugi poruszyła się niespokojnie na noszach,a potem zaryzykowała westchnienie.

-Oj,Boże, Boże...

Przez tyle lat widywała w Wiedniu takich samych dobrych,wesołych, cieszących się życiem chłopców.Spotykała ich na tańcach,na piknikach,na majówkach... Biedny chłopak...

Biedny chłopak patrzał po wszystkich jasnymi,niebieskimi oczami o miłym wyrazie.Gdy spojrzał na nią,uśmiechnęła się.

-Guten Morgen, Herr Leutnant.

-Guten Morgen!Sie sprechen deutsch?- odpowiedział jej ostrym ale przyjemnym głosem, uradowany możliwością rozmowy.

-Niech pani nie opowiada z nim po niemiecku!-rozległ się nagle głos. Było to powiedziane cicho,prawie szeptem,ze strasznymi błędami i strasznym akcentem,ale z taką siłą,że Mrs Karfunkel urwała,Wszyscy odwrócili głowy.Na noszach klęczała milcząca dotychczas dziewczyna.Niemiec zmarszczył brwi i wodził oczyma,starając się zrozumieć o co chodzi.

-Ja wcale nie opowiadam...Przywitałam się tylko,ale nie żebym opowiadała...-tłumaczyła się Mrs Karfunkel,a widząc poparcie Mrs White dodała.

-Przywitać się można.Anglicy nie mają nic przeciw temu,a pani się tak oburza.

-Przepraszam - szepnęła dziewczyna,trochę zażenowana.

Mrs Karfunkel nie była wcale dotknięta.W czasie swojej tułaczki nauczyła się wiele rozumieć.

-Niech się pani kładzie z powrotem,bo nie wolno wstawać,póki lekarz nie pozwoli.

-Ja bardzo przepraszam...ale...ja nie mogę słyszeć po niemiecku... usprawiedliwiała się dziewczyna.

-Ja rozumiem panią.Ja byłam w Polsce...-Mrs Karfunkel pokiwała współczująco głową.-Pani Polka,prawda?

Dziewczyna nasłuchiwała. Z dworu dochodził płacz.

-Prawda,że pani Polka,miss...?

-Wanda- rzuciła dziewczyna, wpatrzona w drzwi werandy.

-George,George,George...-powtarzał się wśród szlochu jeden wyraz.

Wniesiono dziewczynę zlaną krwią.Dopiero w pełnym świetle spostrzegła ludzi i nagle ucichła.Chciała opanować się,ale szloch nie dawał jej złapać tchu,więc wtuliła twarz w poduszkę.Płacz przeszedł w jakiś zduszony skowyt.

-Niech się pani kładzie,panno Wando-zwróciła się Mrs Karfunkel do Polki.

-Nie wolno wstawać!Co pani robi!-podbiegła do niej Miss Violet./Dc/

Antoni Cwojdziński